

F-13

23138



Biblioteczka beletrystyczna

AL. FADIEJEW

**KOMISARZE**



Centralne Wydawnictwo  
Ludów SSSR Moskwa 1927





---

BIBLIOTECZKA BELETRYSTYCZNA

---

A. FADIEJEW

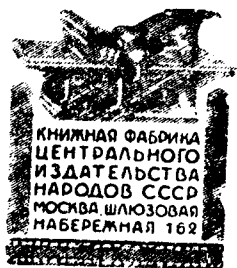
K O M I S A R Z E

PRZEKŁAD Z ROSYJ-  
SKIEGO Z. WITKOWSKIEJ

---

CENTRALNE WYDAWNICTWO LUDÓW SSSR  
MOSKWA

1 9 2 7



Главлит № 77.791

Тираж 6,000 экз.

№ 1138

---

---

## I

Rzeczywista nazwa pułku brzmiała: 22 Amguński pułk strzelców, a szeregowców tego pułku we wszystkich rozkazach urzędowych nazywano ludowoarmistami\*). Ale człowiek, który około roku nie wylaził z pośród sopek\*\*), wyhodował niezliczoną ilość wszy i wydeptał wszystkie drożyny w tajgach od źródeł Zejskich do ujścia Amura, przyzwyczaił się do braku władzy i bezkarności. A lękał się porządku i dyscypliny. Zdawało mu się, że nowe nazwy, a zwłaszcza cyfry są niedopuszczalnym targnięciem się na jego wolność, zdobytą za cenę niezliczonych cierpień. Więc też żołnierze 22 Amguńskiego pułku strzelców nazywali się w dalszym ciągu partyzantami, a pułk zwali poprostu Siemieńczukowskim od nazwiska swego dawnego dowódcy.

Wywiązała się uporczywa i bezwzględna walka pomiędzy nazwą nową a dawną i pomiędzy wyrosłym na żyznych ziemiach żywiołem partyzanckim a wytopioną w gorących kotłach i okrzeplą na dro-

---

\*) Armja na Dalekim Wschodzie nazywała się nie Czerwona, lecz Ludowo-Rewolucyjna.

\*\*) Sopkami nazywają spiczaste wygasłe wulkany.

---

gach kolejowych mądrą wolą klasową. Cały pułk z dowódcą Siemieńczukiem na czele walczył o wszystko dawne — o nowe zaś walczył komisarz pułku Czełnokow.

Sily, które przeciwstawiły się sobie, były nierówne. Nietylko dlatego, że Czełnokow był osamotniony, ale i dlatego, że działo się to w miejscowości, gdzie fabryk i kolei żelaznych było mało, gdzie dzień był niesłychanie krótki a noc długa, las gęsty i mroczny, powietrze wilgotne i trujące od wyziewów błotnych, zwierz w lesie silny i niepłochliwy, a człowiek bezduszny i kudłaty, jak zwierzę.

Okazało się więc, że oddział Siemieńczukowski był silniejszy od pułku Amguńskiego. A było o po porażce pod Rzeczką Cedrową, w pochmurny, oślizgły poranek, na lewym skrzydle czerwonego frontu.

Oddział Siemieńczukowski wicował, zbity w gromadę przy porośniętym mchem i pleśnią zimowym schronisku myśliwskim.

— Gdzie nas wyprowadzono! — darło się obdar-te chłopisko, wygramoliwszy się na pniak.

Człowiek ten ziejący wściekłością, od głowy do pięt obwieszony brudnymi szmatami odzieży, niezmiennie od pół roku, przypominał zagnanego wilka z tajgi.

— Wyprowadzono nas na pewną zgubę!.. Zaprzędano! Zaprzędano! Władywostok zajęty, Spask Przymorski zajęty, Chabarowsk zajęty, Iman zajmą lada dzień — dokąd pójdziemy? My — partyzanci, amu-

---

rowcy! Marzliśmy na sopkach dla chleba i dla naszych rodzin. Czas do domu! Dość długo już żywiliśmy wszy! chodźmy za Amur!.. Tam także jest władza radziecka, sami ją ustanowiliśmy! Niech przymorzanie bronią sobie swojej ziemi!.. Niech Czełnokow sam wojuje!.. ze swoją śmierdzącą rybą...

Z gromady ludzkiej, w której pełne nienawiści twarze, obdarte szynele, bagnety, pasy z nabojami, torby żołnierskie i mokre gałęzie zapaskudzonego przez ludzi zagajnika zlewały się w jedną wyszczerzoną, szczeciniastą twarz — huczał krzyk:

— Za Amur!.. Za Amur!..

— Dosyć już!

— Ale jakże dostaniecie się za Amur? — mówił Czełnokow, siląc się na spokój. — Przez front nie przejdziecie. Przez błota Chorskie oddawna przejść niepodobna. Pozostaje Ussuri. Jakże przeprawicie się przez nią? Statków przecież niema!..

— Łiesz!.. — krzyczano z tłumu. — Oszukujesz! Jest statek! A na czym przewożą ładunki... Łotrze!..

— Ten statek was nie zabierze?..

— Sami go weźmiemy!..

— On i tak zawsze przeładowany...

— Wyładuje—e—my! Też wielka sztuka! Patrzcie go!

— Ależ nie w tym rzecz — walczył Czełnokow. — Przecież opuszczamy front! Przez nas przepadnie cały obwód!..

---

---

— A cóż to my, stróże, czy co! — podskakiwało oberwane chłopisko. — Czemu nie zatrzymaliście przymorzan? Siedzą sobie na tyłach, odziani i obuci!.. A i sztabów namnożyło się, jak psów!

— Prawda, Kiriucha! Na tyłach!.. Galife pona-sadzali, jak Amur szerokie!

— Nie można tak mówić, towarzysze! Przecież my także ponosimy odpowiedzialność. Jeśli inni uciekają, to wcale nie znaczy, że i my powinniśmy zmykać! Mam wiadomość, że w Władywostoku już rozpoczęto układy pokojowe. Zaczekajmy trochę!..

Czełnokow miał głos basowy i z przyzwyczajenia mówił tonem napół przekonywającym, nawpół zaś rozkazującym. Ale tłum nie słuchał komisarza. Wczoraj jeszcze, klóćąc się z nim o produkty, odczuwano jego siłę i poddawano się jej, choć niechętnie. Nie był to wszakże, jak poprzednio, świadomy szacunek dla starszego towarzysza, a poprostu pozostałość lęku przed władzą, jeszcze nie wytrzebionego przez rewolucję. Ujawniał się on tym silniej, im pewniej, odważniej i surowiej zachowywał się dowódca. Dziś jednak to już nie pomagało. Był on jedyną przeszkodą na drodze. Zagadnienie stało się jasne. Pocóż ta rozmowa?

— Do—o—śól!.. — krzyczał tłum.

— Precz z komisarzem!.. Wygadał swoje!.. Do dymisji!..

Na zarośniętej przyzbie (około zimowego schroniska) siedział Siemieńczuk i czekał. Dziwnie wy-



---

---

glądała jego obojętna, zaczajona postać wśród roz-  
pętanej gromady.

Podchwytyjąc kilkakrotnie skierowany ku sobie jego wzrok chytry i wyczekujący, Czełnokow myślał, że jest to jedyny człowiek, który mógłby pułk zatrzymać. Ale Siemieńczuk milczał. Był on również amurowcem, wojowanie mu obrzydło, a przytym sympatje tłumu są tak zmienne, że nie warto ryzykować swego autorytetu w cudzej sprawie.

Czełnokow wymawiał zwykle słowa, a myśli wirowały w jego głowie nerwowo i niecierpliwie, szukając wyjścia. „To bydlę! — myślał o Siemieńczuku. — Dawno należało rozstrzelać.. Żeby choć słowo powiedział, uspokoił“.

— Za Amur!.. — pędziło poprzez tajgę ku zło-  
cistym ziemiom amurskim żywiłowe wycie z tysią-  
ca gardzieli.

— Słuchaj, Siemieńczuk — rzekł Czełnokow, na-  
chylając się ku dowódcy, — jeśli oni odejda, ty  
będziesz odpowiadał.

Siemieńczuk uśmiechnął się drwiąco.

— A cóż ja na to poradzę? Toć ja tu jestem  
niczym.

— Łiesz! — uniósł się Czełnokow. — Ty sprze-  
dajesz cały front za swój znak dowódcy!..

— Co—o!

Siemieńczuk skoczył, jak ukąszony. W jego nie-  
naturalnej pozie było coś kociego. Zdawało się,

---

że nawet żółta szerść jego kurtki z tygrysięgo futra zjeżyła się, jak żywa.

— Towarzysze!.. Słyszeliście, co powiedział komisarz? Czy słyszeliście, co on powiedział?.. — Głos Siemieńczuka drżał z udanego gniewu. — My, którzy cały rok cierpieliśmy w sopkach, padaliśmy pod kulami, grzęźli w błotach, żywili własnym ciałem moskity, jesteśmy. okazuje się, zdrajcami rewolucji! A oni, co przyszli do gotowiuteńskiego, włożyli frencze i wleźli nam na kark — oni są zbawcami?! — Precz! — warknął złowrogo.

Jego tłusta szyja wzdęła się od purpurowych żył, a szeroka, koścista twarz krwią się załala.

Czełnokow schwyił za rewolwer i postąpił ku dowódcy.

— Jeśli sądzisz, że w ten sposób wygrasz... — rzekł ze złowieszczym spokojem... Ale groźne wycie gromady zmusiło go do obejrzenia się. Zewsząd, gdzie tylko byli ludzie, jeżyła się ku komisarzowi stalowa szczecina nieubłaganych luf.

— Precz!..

Czełnokow zdjął rękę z pochwy rewolweru i przez kilka sekund badał wzrokiem tłum. Z poza każdej lufy patrzyły w niego oczy, płonące groźbą i nienawiścią. Nie oczy, lecz jeże! Węgle!.. I w żadnych nie było ani cienia współczucia. Ani cienia. Tylko groźba i nienawiść. Być może—krew i śmierć...

Czełnokow spuścił głowę i powoli zeszedł z przyzby.



...Czełnokow schwycił za rewolwer i postąpił  
ku dowódcy...

---

— Czerwoni! — krzyknął Siemieńczuk. — Zawsze byłem z wami, a wy ze mną!.. Słuchaj mojej komendy!.. Do szeregów!..

Broń opuszczano pokolei. W gromadzie odezwali się dowódcy rot.

— Pierwsza rota, zbieraj się!..

— Druga rota!..

Ostre krzyki komend zdawały się być nie na miejscu pod kudłatemi choinami, wśród rozwydrzonej i zgłodniałej gromady i cichły natychmiast kędyś w rdzewiejącym mchu karczowiska. Roty ustawiały się pośpiesznie, jak łądz, i wpełzały w gąszcz po brudnej drodze. Osiodłany koń komisarza rżał rozpaczliwie i szarpał się na uwięzi. Gałęzie niskopiennych choin tizeszczały pod setkami nóg.

— Wzielibyście chociaż karabinki na ramię — proponował ktoś niepewnie.

— Jeszcze czego, na ramię... — huczały niezadowolone głosy. — Doniesiemy i na rzemieniu... Cóż to, dawne porządki, czy co?..

— Dosyc komenderowano nami, wystarczy!..

Komisarz, który pozostał około schroniska, słyszał dzwiczące w oddalających się głosach nuty radosnego podniecenia i naiwnej, dziecięcej niemal wiary w koniec wszystkich bied i cierpień tego świata.

Gdyby Czelnokow miał chęć i możliwość zajęcia się chłodnemi rozważaniami, przyszedłby do przekonania, że ludzie, porzucający front, nie są ani

---

wrogami, ani zdrajcami rewolucji. Cała bieda polegała na tym, że byli ciemni, jak czarnoziem, który ich wyhodował, i że wojna zmęczyła ich śmiertelnie, a gdzieś tam czekała własna ziemia, chata, rodzina i nęcące zacisze domowe. Czełnokow jednak pochodził z twardego gatunku niebieskich bluz, który nie miał ani chat, ani ziemi, nie znał zacisza życia rodzinnego i zupełnie nie był skłonny do beznamiętnych rozważań w podobnych chwilach. Widział jedynie, że na powierzonym mu odcinku frontu wytworzyła się luka o szerokości 12 wiorst, której nie było czym zatkać. Przez tę dziurę w każdej chwili mogły przejść japońskie oddziały, i wtedy już nikt nie będzie mógł wiecować na całej przestrzeni od Rzeki Cedrowej do Władystoku. Nie myślał o tym, że wypadkiem spotkany wywiadowca nieprzyjacielski może przerwać jego własne istnienie na długo przed przewidywanymi wydarzeniami, to jednak samo przez się było jasne.

Nie! Czełnokow był niezdolny do obiektywnych rozważań. „Uuu! djabie polano! — myślał o Siemienczuku. — Żebym miał chociaż pięciu pewnych chłopców z karabinem maszynowym... Pokazałbym mu „za Amur“...—Ale pewnych chłopców nie było. Poniósłszy klęskę, Czełnokow był jeszcze bardziej osamotniony, niż na początku walki.

Koń zaplątał się w cuglach i z pianą na wargach parskął żałościwie.

---

---

— Spokojnie, ty—y! — krzyknął gniewnie Czel-  
nokow.

Uderzył konia kilkakrotnie szpicrutą po wynios-  
łym zadzie, wymyślając najgorsze, jakie znał,  
słowami. Nieuchronne pytanie: co robić — świdro-  
wało zmęczoną głowę. Usiadł na przyzbie i począł  
rozmyślać. Było to zajęcie niezbyt miłe i niełatwe.  
Komisarz nie spał już około doby. W skroniach  
jego stukalo. Ścisnął głowę wielkimi szorstkimi  
dłońmi, a jego włosy, suche i kruche, jak stara  
szerść jelenia, zjeżyły mu się na głowie w śmieszne  
wichry. Czapka ochronnego koloru leżała u nóg;  
gospodarowały w niej rude mrówki błotne. Odgłos  
kroków i głosy ludzkie dawno już ucichły wdali.  
Tylko w olszynie u źródła poświstywały nieśmiało  
jarząbki o małych oczkach. Na lewym skrzydle  
czerwonego frontu komisarz pułku Amguńskiego  
był zupełnie samotny.

Powoli odpiął pochwę i wyciągnął nagan. Długo  
i z zainteresowaniem przyglądał się, jak połyskuje,  
niby wstążeczka, stal naoliwiona i również poważ-  
nie i z zadumą odciągnął chłodny cyngiel. Nie wy-  
strzelił jednak odrazu, lecz postanowił poczekać  
jeszcze i pomyśleć. Miał zwyczaj ciąć raz, przymie-  
rzał wszakże siedmiokrotnie.

I rzeczywiście myśli jego zwróciły się w innym  
kierunku.

— Tak nie można — rzekł, patrząc surowo na  
wierzchowca. Słowa te jednak odnosiły się nie do nie-

---

---

go, lecz do samego komisarza. Nie było w nich już ani rozpaczy, ani wściekłości, a tylko spokojna i surowa pewność człowieka, który przyszedł do niemiłego, ale słusznego wniosku. — Tak nie można — powtórzył znów głośno. — I tak oię rozstrzelają, ale obowiązkiem twoim jest uprzedzić o tym, co się stało.

Dźwięczało to zupełnie zdecydowanie.

Przytrzymując cyngiel nagana wielkim palcem prawej ręki, Czelnokow opuścił go na miejsce i schował rewolwer do pochwy. W ruchach jego nie było zdenerwowania ani strachu. Podniósł czapkę z ziemi i zaczął ją czyścić mokrą gałązką choiny. Nie chciał, aby w jego ubraniu był najdrobniejszy szczegół, świadczący o panice. Prawda, nie umiał zatrzymać pułku, choć powinien był to uczynić. Ale to jeszcze nie znaczyło, że można wszystko pozostawić na łasce losu.

Czelnokow odwiązał konia i, wskoczywszy na siodło, wyjechał na drogę. Koń rwał się w stronę, kędy odszedł pułk, a on zmuszał go, by poszedł w przeciwną. Przez kilka sekund kręcili się na miejscu, dopóki koń nie zrozumiał, że sytuacja się zmieniła. Wówczas usłuchał człowieka i, zagryzłszy wędzidła, popędził do sztabu na stację Bejcucha.

## II

Komisarz północnego frontu Sobol rozmawiał około pociągu pancernego z ludowoarmistami, gdy wyskoczył z krzaków samotny jeździec na spie-

---

---

nionym koniu i, rozejrzawszy się szybko na wszystkie strony, popędził do wagonu sztabowego.

„Cóż to za figura?“—pomyślał Sobol. Gdy wszakże jeździec zeskoczył z siodła, poznał natychmiast Czelnokowa. Do tej chwili nigdy nie widział go na koniu.

Przyjazd Czelnokowa był zdarzeniem niezwykłym. Sobol przerwał rozmowę na półsłowie i nie poszedł, lecz pobiegł do sztabu. Komisarz pułku Amguńskiego oczekiwał go ponuro, wsparty o wagon. Widać było, że jest straszliwie zmęczony. Koń opuścił także głowę i zastygł na miejscu nieruchomo.

Sobol mocno ścisnął podaną sobie rękę i przez kilka sekund nie mógł wyrzec słowa.

— No... — wychrypiał wreszcie.

— Pułk Amguński opuścił pozycję — rzekł cicho Czelnokow.

— Tsss!... — zasyczał Sobol, zaciskając zęby aż do bólu. — Ani słowa o tym nikomu... Tutaj panika wisi w powietrzu... Chodźmy do wagonu...

Gdy jednak weszli do przedziału, komisarz frontu nie mógł już dłużej panować nad sobą. Uchwycił z wściekłością za brudny frencz Czelnokowa i, drżąc od przepełniających jego istotę szatańsko sprzecznych uczuć, krzyknął cieniutkim, rwącym się falsetem:

— Jak mogłeś dopuścić do tego?.. Trzeba było trzymać z—zębami!.. Co się tam działo... Czelnokow?!



---

---

— Zrobiłem wszystko, co mogłem. Nie zdołałem jednak ich przekonać...

— Przekonać!.. — powtórzył z wściekłością Czełnokow. — Komisarz!.. Trzeba było nie przekonywać, lecz strzelać!..

— Sprawy ułożyły się tak, że nie mogłem nawet wyjąć rewolweru... Skierowali na mnie karabiny...

— Co mi do tego?.. Powinieneś był ich zatrzymać, rozumiesz? Powinieneś!.. Nie obchodzi mnie to wcale, czy byliby cię zabili; czy nie!

Sobol puścił frencz i zaczął biegać w podnieceniu po przedziale. Jego mała niechędoga figurka, miotająca się po ciemnym i zakurczonym przedziale wagonu, jakoś nie pasowała do rosłej, skamieniałej w bezruchu postaci Czełnokowa.

— Czy wiesz, co trzeba z tobą zrobić? — zapytał Sobol, zatrzymawszy się nagle przed komisarzem pułku.

— Wiem — odparł Czełnokow.

Sobol siadł na połaniu i siedział kilka minut w milczeniu. Słyszał było, jak w kancelarji ktoś stukał nieumiejętnie na maszynie.

Nagle słowa komisarza zadźwięczały w ciszy zupełnie inaczej.

— Teodorze... — zawołał cicho na Czełnokowa. — Czy pamiętasz, jak przez pięć lat pracowaliśmy na sąsiednich warsztatach.

Czełnokow drgnął i dziwny, miękki dźwięk wyrwał się z jego ust. Sobol trzasnął nerwowo palcami i mówił dalej równie cicho:

— I ty nie potrafisz zatrzymać pułku?..

Komisarz północnego frontu nie patrzył na swego podwładnego, ale w słowach jego dźwięczał wyrzut równie cichy, jak brzmienie jego głosu. I Czełnokow poczuł, że purpurowieje z nieprzepartego, palącego wstydu, który go objął od głowy do stóp. Czuł, jak wślad za twarzą i szyją zapłonęły jego plecy i nerwowe drżenie przeszło nawskroś jego ciała. Stał przed komisarzem frontu, opuściwszy posepnie głowę, jak przestępca, choć cała jego wina polegała na tym, że, zmęczony nieustannymi bojami, marszami i głodem, nie miał siły wypełnić zadania, które mu powierzyła jego klasa.

— Ja ci nic nie zrobię — mówił dalej Sobol, — ponieważ mało mamy takich ludzi, jak ty, i przebaczymy niekiedy nawet gorszym. Ale trzeba naprawić sytuację. Rozumiesz, Czełnokow?..

Komisarz pułku Amguńskiego podniósł głowę powoli. Jego spojrzenie, pełne zmieszania, spotkało się z poważnym, zdecydowanym wejrzeniem Sobola i w obu przemknęło coś więcej, niż zwykle, wzajemne zrozumienie. Była to sympatja przyjacielska, może nawet tkliwość. Ale trwało to zaledwie мгние. Ludzie wstydzili się tkliwych, cieplejszych uczuć na obojętnych chłodnych drogach odnogi Ussuryjskiej.

---

---

Chodźmy do dowódcy — rzekł Sobol.

Musieli znaleźć szybką i pewną receptę. Czego jednak można było oczekiwać od człowieka w starym mundurze pułkownika, od człowieka, przyzwyczajonego do zorganizowanych jednostek wojskowych? Popatrzył na nich apatycznie przez zapotniałe okulary w czarnej, żałobnej niemal oprawie i nie rzekł ani słowa.

— Gdybym miał wówczas chociaż pięciu pewnych chłopaków, zatrzymałbym cały pułk — wyjaśnił Czełnokow. — Ale teraz nie można go wziąć nawet z pięcioma dziesiątkami chłopów. Dojdzie do rzeki i okopie się. Siemieńczuk to stary wyga.

Popatrzył pytająco na dowódcę, ale ten wciąż milczał. Maszyna ta, dokładna niegdyś i pilna, odmawiała obecnie posłuszeństwa. Sobol schwycił blankiet telegraficzny i, wyrwawszy ołówek z rąk dowódcy, zaczął pisać szybko, pochylony nad stołem.

— Podpiszcie—rzekł, podsuwając zapisany blankiet. — Czełnokow! zawiadamiam o wypadku sztab rewolucyjny i proszę o przysłanie bataljonu marynarzy do twego rozporządzenia. Siadaj natychmiast na drezynę i jedź do Wiaziemskiej. Tam spotkasz eszelon i wraz z oddziałem pojedziesz traktem do Arguńskiej. Sądzę, że jutro wieczorem już tam będziesz. Siemieńczuk nie ma gdzie się podziać. Daję ci wszelkie prawa i pełnomocnictwa, jakie ci będą potrzebne!

---

— A jeśli on zdąży załadować się na statek?  
Sobol schwycił drugi blankiet:

„Stanica Oriechowo Komendantowi  
Sielezniewowi żadnych oddziałów bez  
mego rozkazu nie łądować  
Komisarz wojenny frontu Sobol“

— Oriechowo leży powyżej Arguńskiej — wyjaśnił — tam także jest telegraf. Sielezniew zajdzie do Oriechowa po dynamit. No... idź, bracie... Niema co zwlekać.

Wyszli razem na linję. Około wagonu w tej samej pozie stał uwiązany koń Czełnokowa. Ze smutnych, nawpółotwartych oczu konia sączyły się mętne łzy z głodu i znużenia. Czełnokow pieśczośliwie p klepał go po szyi.

— Zajmij się moim konikiem — rzekł do Sobolja. — A pozatym... — Chwilę zawahał się i dziwnie drżącym głosem skończył: — może znajdziesz kawałek chleba... dla mnie...

• Dopiero teraz Sobol spostrzegł, że Czełnokow jest blady, jak piasek. Skóra na twarzy była ściągnięta i zaznaczała ostro kości policzkowe i szczęki. Pod oczami szerzyły się błękitne kręgi i powieki drżały ledwie dostrzegalnie.

Sobol wbiegł do wagonu i po chwili powrócił z bochenkiem gryczanego chleba i z wielkim kawałem sadła.

---

---

— Czy masz torbę?.. Nie? To weź moją.

Pobiegł ponownie do wagonu i przyniósł japońską torbę żołnierską.

— Noś za moje zdrowie — zażartował.

Ale z pod daszka czapki patrzyła na Czelnokowa z ciemnych jam zgorączkowanych oczu nieopanowana, niepojęta zgryzota, która nie zdołała jeszcze ukryć się w głębi serca.



**КНИГА ДОЛЖНА БЫТЬ  
ВОЗВРАЩЕНА НЕ ПОЗЖЕ  
УКАЗАННОГО ЗДЕСЬ СРОКА**

**Кол-во предых. выдач \_\_\_\_\_**

а 12 к.



Ал. Фадеев. КОМИССАРЫ  
Перев. С. Витковской. Издательство в Польском яв.

